

Promienie śmierci

Ile jest w tem prawdy?

Słyszysz się ciągle o „promieniach śmierci“, mających zabijać na odległość — i ciągle okazuje się, że alarmy były fałszywe.

PIERWSZY BLAMAŻ

Już wkrótce po wojnie światowej terenem takiej pierwszej mistyfikacji była Anglia, gdzie inżynier Grindel-Mattew twierdził, iż wynalazł sposób zabijania wszelkiego życia w promieniu 5 kilometrów. Gdy jednak władze wojskowe zainteresowały się bliżej wynalazkiem i inżynier, dotąd ciągle wykręcający się od zademonstrowania swego odkrycia, musiał wreszcie urządzić oficjalną próbę, pokazało się, że jego promienie, choć je nazwał „djabelskimi“, nie były w stanie zaszkodzić nawet małemu zajęczkowi, umieszczonemu w odległości 100 metrów. Grindel-Mattew gruntownie skompromitowany, opuścił pospiesznie Anglię.

Parokrotnie w latach następnych, w różnych krajach, wieść o straszliwych promieniach ukazywała się znowu w prasie, ale przy bliższym badaniu wychodziło zawsze na jaw — albo że eksperymenty nie były jeszcze zakończone i doniesienie o wielkim wynalazku było przedwczesne, albo też że zachodziło nieporozumienie. Jakże więc sprawa przedstawia się w teorii? Bo słyszeliśmy przecież w roku zeszłym, że Włosi rozporządzają podobno jakimś tajemniczym wynalazkiem Marconiego, mogącym na odległość strącać nieprzyjacielskie samoloty. Niedawno zaś doszły także i z Anglii dość ogólnikowe wieści, że wynaleziono tam sposób unieszkodliwiania ataków lotniczo - gazowych.

WYNALAZEK MARCONIEGO

Oczywiście, chodzi w tym wypadku o odpowiednie zastosowanie elektryczności. W wojnie światowej odgrywała ona niewielką, stosunkowo rolę: zapomoga przewodów elektrycznych zapalano w odpowiedniej chwili przygotowane poprzednio miny lub elektryzowano zapory z koleczastego drutu, tak że każdy, kto się do nich

zbliżył, padał trupem. Przesyłał jednak energii elektrycznej na odległość bez przewodów elektrycznych było ciągle jeszcze sprawą nierozwiązaną i dopiero przed paru laty, kiedy to Marconiemu z pokładu jego jachtu Elektra udało się zapalić wielotysięczne światła całej instalacji elektrycznej na wystawie jubileuszowej w odległym o 20.000 kilometrów Sidney w Australji, — przez cały świat przeszedł dreszcz sensacji: promienie śmierci!...

Przy bliższym jednak zbadaniu sprawy pokazało się, że Marconi przesał telegrafem bez drutu, tylko nieznaczny ilość energii elektrycznej — tyle, ile jej było potrzeba do uruchomienia przełącznika w centrali w Sidney. Od energii tej, odpowiadającej niewielej sile potrzebnej do skontaktowania z sobą obu druków w dzwonku elektrycznym, niesłychanie jeszcze daleko do energii mającej zdolność zabijania.

NIEMOŻLIWA ŚCIANA

Inżynierowie niemieccy pracują teraz jednak w innym kierunku: aby uczynić powietrze dobrym przewodnikiem elektryczności — wówczas bowiem można przez nie przesyłać dowolne ładunki elektryczne, jakby po drucie. W tym celu „jonizuje“ się powietrze za pomocą promieni ultrafioletowych. Jak jednak wykazały próby, takie jonizowanie możliwe jest tylko w kierunku pionowym, a nie poziomym. W każdym razie pozwoliłoby to stworzyć jakgdyby niewidzialny mur powietrzny, a każdy samolot próbujący go przelecieć mógłby być bez trudu ugodzony ładunkiem elektryczności. Kto wie, czy nie na tem samem właśnie polega wspomniany przez nas wyżej wynalazek angielski.

Narazie więc promienie śmierci są bliskie urzeczywistnienia, tylko w sensie obronnym. O tem, by mogły stać się bronią zaczepną, niema jeszcze mowy.

Tryumf Pasteura

Historja walki ze wścieklizną

Epidemia wścieklizny, która od paru tygodni stała się plagą Warszawy i różnych okolic kraju, nie jest już dzisiaj tym koszmarem, jakim była jeszcze przed pięćdziesięciu laty. Zbawca pokąsanych od śmierci w straszliwych męczarniach był wielki uczony francuski, Ludwik Pasteur.

Pasteur, którego od dzieciństwa prześladowały krzyki bólu chłopca, ugryzionego przez wściekłego wilka w rodzinnej wiosce Arbois, uważał wyzwoleń ludzkości od straszliwej plagi wścieklizny za najszczytniejsze zadanie uczonych. Po długich i niebezpiecznych badaniach śliny wściekłych psów doszedł Pasteur do wniosku, że wścieklizna sadzi się w mózgu i kręgosłupie pokąsanych, i że jad tej choroby, jak wskazywały objawy jej, działa na układ nerwowy.

Trzy lata trwała wytężona praca Pasteura i jego dzielnych asystentów, Roux i Chamberlain'a, od chwili wytyczenia przez Pas-

teura drogi do wykrycia straszliwego jadu wścieklizny, czyli wodorostępu, zanim udało się im osiągnąć zwycięstwo nad tą plagą ludzkości. Środkiem, który zapobiegał przedostawianiu się jadu wścieklizny do mózgu stała się szczepionka, otrzymana z preparatu z mózgu wściekłego psa lub z mózgu zwierzęcia, dotkniętego wścieklizną. Pasteur wsadził do klatki z wściekłymi psami zdrowe psy i natychmiast po pokąsaniu zaszczerpił im czarnaście dawek szczepionki, wziętej ze stosu paciorkowego wściekłego królika. U żadnego z tych psów nie wystąpiły objawy wścieklizny.

Wieść o szczepionce Pasteura obiegła szybko nie tylko Francję, ale i cały świat. Ze wszystkich stron błagano Pasteura o szczepionkę. Pasteur nie miał jednak odwagi dokonać eksperymentu ze swą szczepionką na ludziach i, być może, nieprędko zdecydowałby się na ten ryzykowny krok, gdyby nie przypadek.

Dnia 6 czerwca 1885 r. do laboratorium Pasteura w Paryżu przybyła w Alzacji kobieta z dziewięcioletnim synkiem, którego przed dwoma dniami pokąsał wściekły pies, aż w czternastu miejscach. Kobieta ta błagała Pasteura, by ratował jej syna. Tego te dnia po raz pierwszy zastrzyknięto człowiekowi szczepionkę przeciwko wściekliznie. Po dwóch tygodniach chłopiec był całkowicie wyleczony.

Ze wszystkich stron świata zaczęli teraz napływać do laboratorium Pasteura pacjenci. Pewnego dnia przybyło ze Smoleńska dziewiętnastu chłopów, pokąsanych przez wściekłego wilka. Dwadzieścia dni upłynęło od ukąszenia. Pasteur szczepił chłopom wściekliznę dwa razy dziennie, i po kilkunastu dniach szesnastu spośród nich wróciło całkowicie do zdrowia. Tryumf Pasteura był zupełny.

Stroje i ubrania Valentina pod młotkiem

W Turynie odbyła się licytacja, która przypominała znowu światu nazwisko zgasłego gwiazdora — Rudolfa Valentina. Na licytację wystawiono mianowicie siedem kufrow z ubraniami i bielizną słynnego aktora. Jak się to stało, że w tyle lat po śmierci Valentina dzisiaj znajduje się jego garderoba pod młotkiem licytacyjnym?

W r. 1927 zatrzymał się Valentino przejazdem w Turynie w firmie ekspedycyjnej. Aż do śmierci jego opłacano regularnie koszty przechowania. Od tego cza-

su firma przestała otrzymywać pieniądze, wobec czego wystawiła bagaż na licytację. Sprzedano rozmaite części garderoby słynnego ulubieńca kobiet za niesłychanie niską cenę: palto np. za 15 lirów, ubranie za 20 lirów, bieliznę po 5 lirów za sztukę.

Spodziewano się co prawda, że wiadomość podana wcześniej o licytacji zwabi amatorki i amatorów pamiątek po Valentinie, ale, jak się okazuje, rachuby te zawiodły. Wszystko mija na tym świecie i okrywa się kurzem niepamięci.

Spór o polskie nazwiska w sądach amerykańskich

„Kurier Polski“ w Milwaukee przytacza ciekawą i dobrze uzasadnioną wyrok wyższego sądu w Toronto (Kanada), dotyczący stosunków, w których tak samo w Kanadzie, jak i w St. Zjednoczonych często znajdują się Polacy.

Sąd ten rozpatrywał apelację od wyroku sądu niższego w sporze, toczącym się między dwoma Polakami: Pawłem Wojciechym i Józefem Szalejką. Sąd wyższy unieważnił wyrok sądu niższego w Timiskaming i odesłał sprawę do ponownego rozpatrzenia. W uzasadnieniu wyroku sąd wyższy

zaznaczył, że sędzia niższej instancji był tak umyślowo ograniczony, że nie potrafił wymówić nazwiska ani strony pozwywającej, ani pozwanej i pozwolił sobie na nietakt nazwania Wojciechyna „mr. Crackerjack“, a Szalejkę „Jee“.

W Kanadzie dodał sędzia apelacji, jest mnóstwo dziwnych nazwisk, niełatwiejszych do wymówienia niż Wojciechyn lub Szalejko, np. Timiskaming, Coquitland, Memramcook, Coughnawaga, a nawet nazwisko byłego premiera Tachereau.

Najlepsze lekarstwo na urojone choroby

Na Rivierze francuskiej, niedaleko od Nicy, znajduje się założone przed rokiem sanatorium pod oryginalną nazwą „Nobodys Empire“ (Państwo Niczyje). Jak świadczy angielska nazwa, sanatorium jest obliczone specjalnie na klientów rasy anglo - saskiej, i rzeczywiście pełno w niem stale bogatych Anglików, Amerykanów i Australijczyków. Co tym ludziom brakuje? — na to oni sami nie umieliby odpowiedzieć. Wiedzą tylko tyle, że wychodzą z sanatorium „cudownie uleczeni“.

Wynalazczynią tajemnicy i właścicielką sanatorium jest młoda Francuzka, nader ujmującej powierzchowności i inteligencji, m-me Jeanne Vallant. Jej historia, to jedna z cudownych bajek dzisiejszych czasów.

Pani Vallant była żoną bogatego przemysłowca, który uwikławszy się w nieszcześliwe spekulacje giełdowe, stracił nie tylko fabrykę i wszystkie kapitały, ale zarazem urządzenie mieszkania i wszelkie oszczędności swej żony. Nie widząc innego wyjścia, przemysłowiec strzelił sobie w łeb, a młoda wdowa znalazła się na bruku bez grosza przy duszy. Nie wiedząc, co z sobą począć, pożytyła od przyjaciółki niewielką

sumę pieniędzy i wyjechała z Paryża na Rivierę — szukać szczęścia, albo też skończyć samobójstwem.

I oto los jej uśmiechnął się. Już na drugi dzień wyczytała w gazetach ogłoszenie, iż bogaty Amerykanin potrzebuje pielęgniarki, zgłosiła się i została przyjęta. Mr. James Fawler z Cincinnati spędzał w Europie kilkumiesięczny urlop w celu leczenia. Ale gdy p. Vallant rozejrzała się w sytuacji, przekonała się bardzo szybko, że p. Fawlerowi nic nie brakuje i jest poprostu „chorym z urojenia“, zupełnie jak słynny bohater mollierowskiej komedji. Od czegoż jednak inteligencja, dowcip, no i energia młodej kobiety? Pani Vallant zabrała się do leczenia swego pacjenta w taki sposób, że już po 2-ch miesiącach ze łzami w oczach jej dziełko, oświadczając, że powinna koniecznie założyć sanatorium, aby w niem przywracać zdrowie takim, jak on.

A na czem-że polegała ta „cudowna metoda“? Na pracy, i to jaknajcięższej. P. Fawler musiał rąbać drzewo, pracować w ogrodzie, dzwigać taczki z ziemią, a gdy po pracowitym dniu kładł się spać, ani mu przez myśl nie

przechodziło czuć się chorym. Ten sam system stosuje obecnie właścicielka sanatorium „Nobodys Empire“ do innych pacjentów, również, niemal bez wyjątku, rozkapryszonych życiem lub rozstrojonych nerwowo milionerów. Normalnych chorych nie przyjmuje wcale, natomiast wszystkich hipochondryków, z którymi żaden lekarz dotąd nie mógł sobie dać rady, leczy niemal bez wyjątku.

Ale regulamin pensjonatu podobny jest do regulaminu wieziennego. Pensjonariusze muszą się do niego jaknajdokładniej stosować, pod groźbą wydalenia z sanatorium. Uroczą właścicielka pensjonatu nie znośi żadnych sprzeciwów, żadnych różnic stanowych. Goście sanatorium pracują jak parobki, czy dziewczki, m-me Vallant nie potrzebuje wydawać pieniędzy na obsługę, a tylko inkasuje pokaźne sumy za kosztą leczenia.

Praca, jak się okazuje, jest najcenniejszym dobrem człowieka. Groteskowość zaś sanatorium p. Vallant polega na tem, że zbiera pieniądze na pracy ludzi, którzy tak samo majątki swoje zawdzięczają pracy innych, a sami pochorowali się z lenistwa.

MARJAN MALKOWSKI

TAJEMNICA ZA KAŻDEMI DRZWIAMI

Powieść

Ten bieg na przelaj, w czasie którego Magdzia kilkakrotnie o mało nie znalazła się pod kołami samochodu lub tramwaju, skończył się nagle przed drzwiami jakiejś cukierni. Teraz dopiero Magdzia mogła sobie zdać sprawę z ulicy, na której się znalazła. Odetchnęła, poprawiła przekrzywiony beret i obciągnęła na siebie płaszcz. Poczem zajrzała przez okno do wnętrza cukierni. Firanka była odsunięta i Magdzia mogła widzieć dokładnie trzech mężczyzn siedzących przy stoliku. Ten trzeci zainteresował ją najbardziej. Siedział zwrócony tyłem do cka, dość tęgi, pochylony nad stolikiem oglądał uważnie coś, co mu człowiek z czarną brodą podawał. Co to było, Magdzia nie mogła dojrzeć. Potem o czemś długo mówili z brodatym i wyglądało nawet tak, jakby się kłócili, wreszcie człowiek tyłem do okna zwrócony wyjął portmonetkę i wyciągnął jakieś pieniądze brodatemu...

Magdzia nie miała już najmniejszych wątpliwości. To był widać główny zbrodniarz; Onufry i brodaty byli jego agentami, oni sprzątnęli Choleńskiego z rozkazu swego szefa a teraz otrzymują za to pieniądze... tylko trochę mało wydało się Magdzi tych pieniędzy, zresztą w cukierni było już mroczno, Magdzia nie mogła dobrze widzieć. Właśnie w tej chwili zapalono w cukierni lampy. „Tajemniczy zbrodniarz wstał od stolika i sięgając po kapelusz do wieszadła zwrócił się twarzą w stronę okna i wtedy o zgrozo! panna

Magdzia rozpoznała rozlane nieco, pełne spokoju i zadowolenia rysy pana Tulewicza!...

Stała jak skamieniała, dopiero trzask otwieranych drzwi przywołał ją do przytomności. Rzuciła się do ucieczki, wpadła w pierwszą przecieczkę, trąciła kogoś i ktoś przytrzymał ją mocno za rękę.

— Co się stało? proszę pani!

Ujrzała tuż przed sobą młodą przystojną twarz sędziego Adulskiego, jego oczy patrzyły na nią ciekawie poprzez szkła okularów...

— Niech go pan nie każe aresztować, on nie może być winny... to pomyłka... bełkotała nieprzytomnie.

— O czem pani mówi? Kogo mam kazać aresztować?

Magdzia nagle oprzytomniała. — I nie śledził pan teraz nikogo? Sędzia śledczy Bronisław Adulski poczuł się dotknięty.

— To rzecz policji, sędzia nie śledzi nikogo. Ale co pani miała na myśli, była pani tak przestraszona.

— Ja przestraszona? nie podobno! śpieszyłam się tylko... i... i... Słyszałam właśnie, że już jest ktoś aresztowany w sprawie Choleńskiego, dlatego pytałam się, czy to pan kazał go aresztować...

Balam się, czy to przypadkiem nie ten poczciwy Onufry... trzępala przedko, nie dając Adulskiemu przyjść do głosu... miałam pewne podejrzenia i lękałam, by one nie zasugerowały policji, przekonałam się jednak, że on nie może być winien.

Sędzia Adulski nie okazał braku wiary w słowa Magdzi.

Tak, naturalnie... widzę jednak, że jest pani trochę zdenerwowana, a na zdenerwowaniu niema nic lepszego jak czekolada i ciastka z kremem, jeśli pani się zgadza, tu zaraz blisko jest cukiernia...

— Nie, nie, tam nie... Tam są okropne ciastka i czekolada zawsze przypalona — Magdzia była przerażona — nie cierpię tej cukierni!... Ale możemy iść przecież do innej...

Tu panna Magdzia uśmiechnęła się jak mogła najładniej i zręczny mruchem poprawiła rozwiane trochę włosy.

Rozstali się przed domem Magdzi w najlepszej przyjaźni i Magdzia musiała w duchu przyznać, że pan Bronisław jest bardzo, bar-

dzo miłym i wszystko byłoby dobrze, gdyby... gdyby była nie poznała swego własnego ojca w tajemniczym wspólniku Onufrego... Szła zamyślona przez podwórze i minęła bez słowa pana Kaliksta, drepającego swoim starczym krokiem.

— Oho! panna Magdzia ma zmartwienie — odezwał się staruszek.

— Och, panie sędzio...

— A to źle... Bronek Adulski bardzo zany chłopak, bardzo poczciwy i smutnoby mu było, że w taki humor wprawiło pania jego towarzystwo.

— A to pan widział?

— Wracalem właśnie ze spaceru i minalem państwa w bramie, tacyście byli zagadani... Nie chciałem przeszkadzać.

Magdzia się zarumieniała.

— Byłem dziś w Pruszkowie... dodał po chwili Jankiewicz.

— Ach panie sędzio! — westchnęła Magdzia — życie jest takie dziwne...

To przecież nie powód, żeby się martwić

— Gdyby pan sędzia wiedział!...

— Tak, gdybym wiedział... przyswiadczył staruszek.

— Ale nie mogę tego powiedzieć nawet panu — rzekła panna Magdzia, rzucając Jankiewiczowi pełne melancholji spojrzenie i poszła wdychając na górę.

Felicja Westen siedziała z pochyloną głową przed biurkiem, za którym urzędował sędzia Adulski. Nawet róż nie zdołał zatrzeć na jej twarzy śladów znużenia i niepokoju. Usta nie powleczone szminką były sine i zeschnięte.

Twarz sędziego Adulskiego, gdy się ku niej pochylał ponad biurkiem była poważna i surowa.

— Po raz ostatni ostrzegam pania — mówił sędzia — że jesteś my w posiadaniu dowodów, które zadają kład zeznaniom pani. Radzę pani mówić prawdę, tak będzie lepiej dla pani...

(D. c. n.)

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony: 666-68 (redaktor naczelny), 666-68 (sekretariat), 666-99 (ogłoszenia). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 12-13.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 121. Telefony: Zarząd 691-64, Prenumerata 691-66, Księgozbiór i Kasa 220-30. Dział Ogłoszeń Zgoda 1, tel. 691-56, Kantor — Zgoda 1, tel. 230-00. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — ABC Warszawa, Konto P.K.O. Nr. 15-798.

PRZEDSIĄWZIĘCIA: Piotrków Trybunalski, Słowackiego 8, tel. 59, Włocławek, Cyganki 24, tel. 136. PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnikiem do domu) i na prowincji zł. 2.30 miesięcznie; wydanie B wraz z dziełami Sienkiewicza zł. 3.30 miesięcznie.

Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpal ty (na wszystkich stronach po 6 szpal): na 1-ej stronie — 1 zł., 60 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 30 gr. Nekrologia po 3 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych“ liczy się za oddzielne wyrazy, a luster druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty i wyjaśnienia cyfrą (K.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada. Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.